

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

Redakcja i administracja mieszczą się w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 11-ej z rana do 1-ej po południu i od 4-tej po południu do 6-tej z wieczora.

Nr. 27.

Warszawa, d. 2 lipca (19 Czerwca) 1904 r.

Rok III.

KONKURS FOTOGRAFICZNY TYGODNIKA „NAOKOŁO SWIATA”.

Zdjęcie p. Emila Karola Bohma.



Rzeczka w lesie.



PIOTR LOTI.

INDJE.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Po wyjściu z tej części sklepionej, która była jedynie przedsionkiem, masz odrazu gwiazdy nad głową, gwiazdy, widziane jakby dorywczo i jakby z otchłani. Nowe te podwórce pod niebem otwartym, otrzymane zniesieniem pół góry, wyłamaniem granitu, z którego możnaby pobudować całe miasto, mają w sobie to osobliwego, że ściany ich, wysokości dwustu stóp, ze wszystkimi swemi piętrami i dzielącami je galerjami, z bóstwami swemi, w boju uszykowanymi, nie są prostopadłe, lecz spadają na cię w przerażający sposób. Liczono tu na wytrzymałość granitu, od wierzchołka aż do podstawy trzymającego się w jednym kawale bez szczerb i pęknięcia, by wywołać ten efekt toni, która się zamyka, toni, która cię pochłania.

Przytym podwórce poprzednie były puste, te zaś całe usłane przedmiotami olbrzymiemi, jako to: obeliskami, posągami, wyobrażeniami słoni na postumentach, pylonami i świątyniami. Trudno rozwikłać tu myśl zespołu, w tej ciemności północnej, w której niknie nasza latarenka; dostrzegasz przeważnie ogrom tego i trwogę, bijącą od tych rzeczy.

W przejściu — olbrzymia postać martwa, ciosana z kamienia, jakiś uśmiech, szczerzący się, skieletu czy potwora, wyblęsnie ci na chwilę — i giniesz znowu w tym lesie kształtów straszących.

Zrazu widzieliśmy tylko słonie w pojedynkę; a oto cała ich gromada pod rząd, stojąca z trąbami zwieszonymi; pośród tylu tu istot skłębionych, przedrzeźniających śmierć i konanie, jedyne to kształty w pokoju. One to dźwigają na swych grzbietach serję trzech wielkich świątyń pośrodku, świątyń z jednego kamienia.

Przechodzimy pomiędzy temi świątyniami i ścianą zwisającą, grożącą swym obwodem, na rodzaj drogi okolnej, gdzie od czasu do czasu ujrzysz gwiazdy nad głową, gwiazdy, które nigdy nie rozblęskiwały tak niedościgłe. A wszędy te rzuty kształtów oszalałych, zapasy potworów, złączenia ohydne, członki ludzkie obcięte, tułowia, gubiące wnętrzości i jeszcze się zduszające. Szywa, wszędy Szywa; Szywa, który ma, jako ozdobę, naszyjnik z cza-

szek, Szywa żyźniący i Szywa zabijający; Szywa, który jest wieloramienny, by móc naraz z dziesięciu stron razić; Szywa, który z uszy wykrzywionymi ironją daje życia początek, by móc następnie zabić to, co spłodził; Szywa, który tańczy i wyje od szczęścia na szczytkach drgających, na ramionach wyrwanych, na łonach wyprótych; Szywa, który pokłada się od śmiechu i radości, depcąc małe ciała martwe dziewczęce, uderzeniami pięt miażdżąc główki, by mózgi tryskały mu na uciechę.

Ciągle od dołu blask naszej latarni pełza po tych straszdyłach; wciąż zanurzają się one w cieniu, znów wybłyskują i nikną. Grupy, miejscami całkiem zniszczone, stały się nie do odgadnienia pod poniewierką wieków; ledwo zarysowane rzucą się oczom i giną w następującym ogromie nocy, zlewając się ze skałami, ciągnąc dalej tę mękę ciemności; nie wiesz, nie widzisz, kiedy się to skończy, i wreszcie całą górę aż do jądra samego widzisz napełnioną kształtami strasznymi w rozterce, przesyconą pasją i uciechą.

Te słonie—olbrzymy, pod rząd podtrzymujące pałace środkowe, zdumiewały w tym miejscu spokojem; w drugim atoli rzucie świątyń, który okrążamy, odpowiednie do nich i symetryczne, wszystkie w ruchu walki i tortury; tygrysy, bestje jakieś sennie, wgryzają się w nie, szarpią im brzuchy; one walczą z niemi śmiertelnie—i tak już stłoczone przez napór ścian, leżących na ich grzbietach.

Z tej strony wielka ściana zamykająca, cała masa ziemnorodna granitu okolicznego, zwisa jeszcze okrutniej; zarys figur wielolicznych zaczyna się dopiero na dziesięcio czy dwudziestostopowej wysokości; cała zaś podstawa—to wydęcie, jakby się rzekło o ruinie, blizkiej już upadku, ruinie, jak sklepienie gładkie, wytoczone, z nabrzmiałościami, jak bąble miękie; wzięłybyś te flanki za jakieś trąby wodne czarne lub za jakieś potworne miecze pokręcone, podtrzymujące budowlę, która zaraz ma runąć i pogrzebać wszystko.

Świątynie te z jednolitego kamienia, podtrzymywane przez całe szeregi słoni, ze ścianami ciętymi, ze wszech stron zwisającymi, właśnie okrążyliśmy dokoła. Pozostaje nam

przeniknięcie do wnętrza — i oto mój przewodnik jeszcze raz się wzdryga, radzi odłożyć do jutra, czekać wschodu słońca.

Schody, prowadzące do tych świątyn — w upadku; stopnie pokruszone, niebezpiecznie ślizkie, od nóg ludzkich bosych przez tyle czasów głądzone w ciągłej wędrówce.

Instynktownie jakoś, nie zdając sobie sprawy, wchodzimy w baczny milczeniu; każdy głaz, który się zachwieje, każdy kamyk, który się stoczy, tworzy hałas, echemi podsycany, który zbija nas z tropu. A wszędy dokoła nas ta zgroza, stokrotnie powtarzająca się, tych Szywów giestykujących, Szywów, w skurczach miotających się, Szywów, prężących łona wytworne, natężających piersi mięsiste, w szale tworzenia lub zabijania.

Wchodząc w obręb tych mroków gęstych, nie pomyślałem o zaopatrzeniu się w broń jaką, nawet w zwykły kij; tak daleką była ode mnie wszelka myśl napaści ze strony ludzi czy zwierząt; a oto trwoga mego „koziarza” udziela mi się, trwoga ciemna, trwoga tego, co nie ma nazwy w języku żywych.

Oczekiwałem w tej świątynicy najprzedniejszej zjednoczenia tej całej trwogi, dokoła rozpostartej, ostatecznego, by tak rzec, wylewu tych znamion okrutnych. Gdzie tam! Wszędy pokój i prostota: jest to, jakgdyby po miotaniach śmierci, ukojenie wielkie, które was, stamtąd wyrwanych, przygarnia. Nigdzie ani śladu kształtów ludzkich lub zwierzęcych; ani giestu, ani postaci, ani połączeń, nic; świątynia pusta, w niej uroczystość poważna, rozległa. Jedyne, gdy się stąpa lub mówi, odzew przygrobowy jeszcze silniejszy, niż zewnątrz; poza tym — nic, coby przestraszało, nic, nawet drgnienia czarnych skrzydeł w powietrzu. Toż kolumny czworograniaste, z tego samego ciosu u dołu i u sklepienia, mają ozdoby surowe i skromne, przeważnie z linii splecionych.

Okazuje się ostatecznie, że, pomimo ruiny i tysiącoletniego zszarzenia, miejsce to pozostaje świętością; od wejścia samego takim się

okazuje, a trwoga, którą wpaja, jest wyłącznie bogobojną. Na to, by ściany były tak zakopcone ogniem lamp i pochodni, by granit gruntu był tak lśniący i jakby nasycony oliwą, trzeba, by tysiące całe jeszcze tu chodziły. Bóstwo śmierci nie porzuciło tej góry, którą całe ludy z innej epoki dla niego drażyły. Stara świątynica wciąż posiada duszę.

Są tu trzy sale, trzy świątynie, które idą za sobą kolejną, wykute w jednej bryle. Ostatnia z tych sal to *sanctuarium*, do którego zazwyczaj przystęp zawarowany, jak to było we wszystkich świątyniach bramińskich, gdzie mnie nie wpuszczano.

I tu jeszcze spodziewałem się zobaczyć coś okrutnego. Lecz i tu nic z tego nie było.

Jedyna tylko tu rzecz, która prostotą wszystkiego sensu, śmiałością zuchwałą zdumiewa, niepokoi i omracza bardziej, niż wszystkie zbiorowiska straszdeł po za temi ścianami: to na zniszczonym gładzie ołtarza — mały kamyk czarny, połysku marmuru polerowanego, mający kształt wydłużonego jaja i stojący sztorcem; na postumencie jego z każdej strony wycięte te same znaki mistyczne, którymi wyznawcy Szywy zawsze z rana znaczą swe czoła przy pomocy popiołu. Wkrąg wszystko czarne od kopcia; nisze w ścianach pokryte grubą warstwą sadzy, wysmarowane oliwą, pełne ogarków, których tu nikt nie rusza. Stąd się otrzymuje ogień święcony. Wszystko tu zamorusane, świadczące o kulcie upartym, o kulcie dzikim i niecącym trwogę.

Ten więc kamyk czarny, *centrum* wszystkiego, sens moralny bytu, pobudka pierwsza cudownej pracy drążenia i kowania tej skały, jest najbardziej zwięzłym i najbardziej znamionym symbolem, który stworzyła wyobraźnia Indów, by zobrazować boga, który ciągle użyżnia w celach ciągłego niszczenia; jest to *Lingam*; wyobraża on tworzenie i wyprowadzenie na świat, które *służy jedynie do wzmożenia i zasilenia śmierci*.

(C. d. n.)



LEOPOLD JANIKOWSKI.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy.)

Góry Kameruńskie to 70 przeszło wygasłych wulkanów. Kraj to jeden z najbogatszych i najzdrowszych w Afryce. Przed naszym przybyciem był prawie nieznan, przytym jest on najdogodniejszym punktem do robienia wycieczek w głąb lądu; te powody skłoniły nas do osiedlenia się tam. Dom naszej stacji został zbudowany u podnóża gór, na leżącej o kwadrans drogi od brzegu wyspie Mondoleh. Wybór był szczęśliwy, gdyż, oprócz pięknego położenia, wyspa okazała się najzdrowszym punktem w zatoce; wystawiona na działanie wiatrów morskich i lądowych, miała temperaturę o wiele niższą niż brzeg stałego lądu. W najgorętszych miesiącach nie mieliśmy wyższej jak 26 R. w cieniu. Dom stacji, wybudowany na palach z nadzwyczaj twardego mangrowowego drzewa, belki, ściany z mahoni, zewnątrz obite płytami cynkowymi, wewnątrz deskami; próżnia, jaką się pozostawia pomiędzy cynkiem a ścianą wewnętrzną, nie dopuszcza gorąca. Dach cynkowy pokryty oprócz tego matami z bambusu. Wyrażenie „dom z mahoni” dziwnie brzmi w Europie, tam jednak jest naturalnym, gdyż mahoń czerwony i biały, drzewo żółte, czerwone, a dalej w głębi gór i heban, stanowią całe lasy.

Góry Kameruńskie zamieszkują głównie 3 plemiona: Isubu, Bamboko i Bakwireh. To ostatnie zajmuje środek gór, jest najsilniejszym i najliczniejszym. Panującym też językiem jest *bakwireh*, inne są tylko odmiennymi narzeczaniami. Nieznajomość języka to pierwsza trudność, jaką musi zwalczyć Europejczyk, chcący poznać dany kraj i wejść w stosunki przyjazne z jego mieszkańcami.

Na brzegach, szczególnie tam, gdzie są faktorje białych, znajdzie się w każdym mieście przynajmniej kilku murzynów, mówiących zepsutym językiem angielskim, można więc ich używać jako tłumaczy. Początkowo korzystałem z ich pomocy i wychodziłem na tym jak najgorzej, w takim razie bowiem jest się na łascę takiego handlarza, który, czując się niezbędnie potrzebnym, nakłada różne trudne warunki, jak: dobre wynagrodzenie, jedzenie, wódkę, podarki itp., w rezultacie za to wszystko, zamiast pomagać—szkodzi. Przychodzimy

np. do jakiego nieznanego miasta, gdzie ludzie mi o zawiązanie pierwszych stosunków, o ile można przyjaznych; powiadam więc przez tłumacza: „Przychodzę tu, nie jako kupiec, lecz jako przyjaciel czarnych braci, chcę poznać wasz kraj, nic od was nie żądam, przeciwnie, jako zadatek przyjaźni przynoszę dary”. Przewodnik jednak mówi do króla zupełnie co innego: „Przyprowadziłem ci białych, patrz, jakie mają bogactwa w kuferkach. jeżeli podzielisz się ze mną, zrobię to, iż część tych skarbów otrzymasz”. Albo też wyzyskiwali w ten sposób kacyków miast, iż żądali, w moim imieniu,



Typy kobiet afrykańskich.

różnych podarków z inwentarza jak: kozy, owce itp. Później powydawały się te nadużycia, zabraliśmy się więc do nauki języka i w następnym roku mogłem już porozumiewać się bez tłumacza. Odrazu zmieniły się stosunki; kacykowie z niedowierzających stali się życzliwymi; znajomość języka wyrobiła pewną popularność i ta coraz wzrastała, tak że w końcu byłem wszędzie przyjmowany z entuzjazmem, pojawienie się moje było rodzajem święta dla miasta. W ważniejszych sprawach, targach pomiędzy miastami, mieszkańcy udawali się do mnie po sądownictwo i bezwarun-

kowo nic bez mojej rady nie przedsiębrali, szczególnie w sprawach politycznych.

Jest to dowodem, iż z murzynem można zrobić wiele, lecz tylko wpływem moralnym, nigdy siłą i grozą. Język *bakwireh* jest dosyć bogaty i wyrobiony, litery n, m, b, powtarzają się najwięcej. Wymawianie niektórych połączeń dźwiękowych jest dosyć trudne, np. mb. *mba—mbua, mburi*. W rozmowie język jest nawet dość melodyjny, dźwięki przeważnie łagodne, żadnych ostrych, syczących. Oto kilka wyrazów: *atoli, asaloli, alingani, keude, buam, sango, ndabo* i t. p. Naczelnik miasta, czyli król, zowie się *Sango-Nbuko*; biały człowiek prawie we wszystkich plemionach „*mukara*”, pismo zaś, narzędzie, w ogóle wszystko, czego zrozumieć nie mogą, zowią „*kalati*”, tj. czary. Powitania są również dźwięczne i tak: w górach — „*udjabuam*”, w sąsiednim zaś kalabarze „*mekomfe*”, temi wyrazami witają i żegnają; są w nich zawarte wszelkie życzenia. Przy wymawianiu tych słów obejmują się i przyciskają ramię do ramienia, prawe do prawego.

Powierzchnością nie różnią się bakwirjczycy od innych murzynów; tylko, jako rasa góraska, są roślejsi, więcej zahartowani, ruchy też ich są więcej wyrobione, energiczniejsze. Strój bardzo prosty, tj. przepaska około bioder z tkanin europejskich, mężczyźni noszą płótna długie, prawie do kostek sięgające; szaty kobiece nie dochodzą kolan, z boku otwarte i na węzeł związane. W głębi gór kobiety zadowolają się minjaturową przepaską, a mężczyźni noszą rodzaj frędzli z włókien roślinnych, nokoło pasa przewiązanych. Na ozdoby kupują chętnie w faktorjach druty miedziane i mosiężne i robią z nich bransolety, pojedynczo lub spiralnie jak wąż skręcone; jest to ozdoba na ręce i nogi, bardzo ceniona; włożona raz, nie zdejmuje się, tylko przez szorowanie piaskiem utrzymują owe druty w stanie błyszczącym. Bogatsi mają bransolety z kości słoniowej, dochodzące szerokości 8 cali.

Dalej, tak mężczyźni jak kobiety, lubią naszyjniki z pereł szklanych, różnokolorowych. Uszy przekłuwają w młodym wieku, wkładając zaraz w miejsce przekłóte okrągłe drewno, którego grubość codziennie zmieniając, powiększają tym sposobem otwór, w którym noszą pałeczki z kości słoniowej, lub rzeźbionego bambusu; bliżej zaś faktorji kupują kolczyki zwykle, tombakowe. Lubią też pierścionki mosiężne, tombakowe lub wprost z drutu miedzianego. Sposób ubrania, czesania głowy najrozmaitszy, zależnie od okolicy; włosy wogóle murzynów są krótkie, wełniste; mężczyźni albo obcinają krótko, lub też częściowo, po-

zostawiając stojące kosmyki. Obcinanie włosów odbywa się nożem, nożyczek nie znają. Kobiety poświęcają wiele czasu na swoje koafiury i tu trzeba podziwiać ich cierpliwość.

Oto z owych krótkich skręconych włosów, zaplatają warkoczyki grubości sznureczka i temi warkoczami otaczają głowę, układając w formie ślimaka, lub w różne kwadraty, kółka, często gustowne desenie. Podobna koafiura, raz zrobiona, wystarcza na parę tygodni. Ma się rozumieć, że stroją tak głowę tylko bogatsze, gdyż są do tego specjalne czarne fryzjerki, którym trzeba płacić podarkami. Nakryć głowy nie używają; mężczyźni na wybrzeżu kupują w faktorjach kapelusze, wyplatają niekiedy sami kapelusze o bardzo szerokim rondzie z liści bambusowych, ale są one używane raczej jako parasole podczas pory deszczowej. Czaszki mają tak grube, iż mogą się obyć, pomimo silnych upałów, bez nakrycia głowy. Często widziałem, jak np. murzyn brał w ręce grube gałęzie drzewa unosił w górę i silnym uderzeniem łamał o głowę. Zęby mają białe, śliczne; utrzymują je w wielkiej czystości przez płókanie ust po każdym jedzeniu, następnie biorą pewien gatunek miękiego drzewa, mają go zawsze w domu pokrajane na wąziutkie paski, rozgryzają koniec takiej deszczułki, przez co się tworzy rodzaj szczoteczki i tym czyszczą zęby. Podobno sok tego drzewa wzmacnia dziąsła. Jak są silne ich zęby, miałem częste dowody: przegryzają np. gruby drut, chrupią swobodnie orzechy palmowe, które trudno rozbić kamieniem. Nasi robotnicy, przy otwieraniu jakiej paki, gdy zardzewiałego gwoźdźca nie mogli wydobyć obcęgami, wyciągali go zębami.

Ciała tatuują, ale nie całe, napuszczają tylko gdzie nieddzie na twarzy, czole, piersiach, czarną farbę, tworząc gwiazdki, kółeczka lub drobne desenie. Nacierają skórę olejem palmowym oczyszczonym lub pomadą europejską. Mężczyźni noszą w rękach długie kije z mahoniu lub hebanowe, ładnie wyrabiane; kobiety zwykle idą obarczone jakim ciężarem albo niosąc w torbie z łyżką bambusowego, na plecach umieszczonej, dziecko, lub też z koszem, również zawieszonym na plecach, dźwigając drzewo na opał, jarzyny z plantacji itp. Wogóle całą ciężką pracę spełniają kobiety. Praca około ziemi w plantacjach, wyrób oleju, nawet niektórych przedmiotów do użytku domowego, gospodarstwo, zajęcie się inwentarzem, to wszystko należy do czynności kobiety. Mężczyzna oddaje się rybołówstwu, poluje, dostarcza owoców olejnych, prowadzi handel wreszcie; lecz zawsze podział pracy bywa nierówny.

To też małżeństwo jest tu rzeczywiście uprawionym niewolnictwem. Żony się kupuje. Każde dziecko-dziewczynka jest dla rodziców towarem, który się odda więcej dającemu. Jeszcze dziecko na rękę, a już zgłasza się jaki amator, który targuje, jeżeli to ojciec rodziny, to dla swego syna, jeżeli młodzieniec—to dla siebie. Następuje ugoda, zwykła cena 100–150 rb. towarem, którego rodzaj określają rodzice. Murzyn najczęściej powiada, iż jest za ubogim, aby mógł tak dużą sumę wypłacić odrazu; rodzice wtedy godzą się na spłatę ratami.

Przyszły małżonek zabiera się do pracy, znosi do faktorji różne produkta leśne, zamienia na żądany towar i częściowo oddaje rodzicom. Dziewczynka się tymczasem chowa u rodziców. Wreszcie dłużspłacony, w 10-ym roku dorosła już dziewczyna zostaje żoną. Gorący klimat wpływa, że kobiety szybko się tu rozwijają, ale też równie szybko starzeją.

Od zamożności zależy ilość żon: ubogi musi się zadowolić dwiema, trzema, bogaty ma ich po kilkanaście; w miarę, jak się starzeją, dokupuje coraz młodsze. Stare idą do pracy około gospodarstwa w plantacjach, tak, że im więcej murzyn ma żon, tym większy też dobrobyt, bo jest więcej robotnic. Jeżeli po sprzedaniu dziecko umrze, rodzice zwracają pieniądze, lecz kobieta, raz zabrana z domu, nie może już być zwróconą rodzicom, chociażby mąż był z niej najbardziej niezadowolony. Może z tego powodu, iż w górach niema ani jednej kobiety wolnej, a każda, czy to dziecko, czy dorosła, jest już czyjąś własnością, — panuje tam wielka moralność. Też same warunki są na sąsiedniej rzece Kameruńskiej, tam jednak panuje ogromna demoralizacja. Smutny to fakt, iż murzyn, żyjący więcej w głębi, dziko, jest jak najlepszym człowiekiem, w zetknięciu z białym przybiera pozory cywilizacji i staje się potym jak najgorszym. Weźmy przykład: tak zwany buszman nie kradnie, wszędzie w miastach są poznaczane surowe kary za kradzież; gdy da raz słowo, z pewnością go dotrzyma.

Dom mój, nie zamykany, był zawsze podczas wycieczek na opiece jakiego krajowca i nigdy nie zginęła najmniejsza rzecz. Nie powierzyłbym jednak domu cywilizowanemu murzynowi.

Krajowcy są usposobienia łagodnego, mają skłonności dobre, religja ich zbliżona jest do religji chrześcijańskiej. Wierzą np. w jednego najwyższego, niewidzialnego fetysza, potym w złego ducha i w nieśmiertelność duszy. Głównym ich fetyszem jest „gania“, żyjący w górze, drugim „dziengu“, żyjący w wodzie; ma-

ją też najróżnorodniejsze wyobrażenia mniejszych fetyszów, którym cześć oddają. W pewnych dniach roku zbiera się czasem po kilka miast razem i wyprawiają taniec, śpiewając ciągle „gania, gania“. Wierzą, iż pod koniec uroczystości fetysz zjawia się pomiędzy nimi i przyjmuje udział w obchodzie. Częste libacje wódką, wreszcie rozgorączkowanie, zmę-



Typy kobiet afrykańskich.

czenie, sprawiają u niektórych halucynacje i ci przysięgają potym, iż widzieli „ganię“. „Dziengu“ jest właściwie bożkiem rybaków, on rozkazuje rybom, wie o każdym wybierającym się na połów. Gdy rybacy wypływają ze wschodem słońca, nic nie jedzą, gdyż powiadają: „Jeżeli „dziengu“ zobaczy człowieka nasyconego, odwołuje ryby, mówiąc do nich: „Nie chodźcie do tego rybaka, on nie głodny, nie potrzebuje pożywienia z was“! Czasem fetysz, rozgniewany o zabicie jakiej wielkiej ryby, wyprowadza z zatoki wszystkie mniejsze; rybacy po całodziennych usiłowaniach wracają z niczym. Przyczyną tego deszcze lub burze. Nie, powiadają, to gniew dziengu i, dla przebłagania go, urządzają wodną uroczystość. Kapłani oraz kacyk i wybitniejsi krajowcy zabierają do łodzi jedzenie, wódkę palmową i wypływają na morze, przy głośnych śpiewach i uderzeniach bębna. Okrążywszy kilkakrotnie zatokę, wrzucają jadło do morza, wylewają wódkę, przy wołaniach „dziengu, dziengu.“ Fetysz, zadowolony z libacji, przysyła napowrót ryby na dawne miejsca.

(C. d. n.)

Esperanto w handlu.

Handel należy bezsprzecznie do potężnych łączników pomiędzy ludami, rozdzielonymi dalekimi przestrzeniami. Interes wzajemny, zasadzający się na wymianie usług, nie dba o odległość, przeszkody; ma na celu, z jednej strony, otrzymanie żądanych artykułów handlu w najlepszym gatunku ze źródła, z drugiej—korzystne spieniężenie tych artykułów. Zawijaniu stosunków handlowych pomiędzy ludami różnoplemiennymi staje nieco na przeszkodzie odrębność językowa; mówimy: nieco, gdyż strona zarabiająca na transakcji gotowa jest do wszelkich ustępstw, byle sprzedać swój towar.

Doskonale sobie pod tym względem radzi lud nasz: widziałem we Włoszech rodaków—górali tatrzańskich, załatwiających sprawunki, nabywających dewocjalja—na migi. Nie umiejąc słowa po włosku, zapuszczali się w głąb miasta, trafiali, dokąd zamierzali, nie błędząc: „Pieniądz, panie, to najlepszy przewodnik i tłómacz”—mówili mi, gdy ich pytałem, jak sobie radzą.

I u nas każdy kupiec nie wypuściłby ze swego sklepu np. Chińczyka, gdyby ten okazał chęć nabycia jakiegoś towaru; nie rozumiejąc jeden drugiego, załatwiliby jednak interes — ku obopólnemu zadowoleniu. Co jednak jest dość łatwe w zetknięciu się osobistym, nierównie trudniej załatwić—przez korespondencję. I tu jednak „nieco” języka obcego wystarczyłoby najzupełniej.

Kupiec danej miejscowości, choćby podzwrotnikowej, otrzymując zamówienie listowne, zwraca uwagę na „*nervus rerum*”, na warunki spłaty: gotówkę, weksel; gramatyka i ortografia mało go obchodzą, przebaczy chętnie cudzoziemcowi, ba, i rodakowi, wszelkie błędy w pisowni, byle nie chybiał w terminach.

Ku ułatwieniu korespondencji handlowej między ludami najrozmaitszych szczepów, przyjęto w niej, jako międzynarodowe, przedewszystkim, języki: francuski, niemiecki i angielski. W Królestwie Polskim, sąsiadującym i obcującym z Niemcami, język Teutonów wyrobił sobie w handlu pierwszeństwo przed francuskim, który przez długi czas był rzekomo atrybutem klasy dobrze urodzonej, naszego *high-lifu*, zanim spopolitowany, nieco pod wpływem niechęci przeciw Niemcom, nie objął szerszych kół zwolenników.

Dziś, obyczajem przyjętym, nietylko od samodzielnych korespondentów i buchalterów, lecz i od ich pomocników, firmy handlowe wymagają *gruntownej* znajomości obu tych języków. Odzy-

waly się liczne i wymowne głosy, nawet w piśmie fachowych, dowodzące, że wymagania te są przesadzone, a nawet szkodliwe, że korespondowanie z firmami zagranicznymi w języku polskim wywołałoby tylko przyjmowanie przez tamte firmy korespondentów - Polaków, co dało nowe pole zarobku rodakom naszym; odcyfrowaniu zaś nielicznych zamówień z zagranicy, nadsyłanych nam, pomogłyby słowniki.

Szczególne faworyzowanie języka niemieckiego w stosunkach dzisiejszych wydaje się wielu wprost karygodnym...

Praktyka stwierdza, że wśród handlowców naszych mało jest polyglotów. Biuro rekomendacji pracy przy Towarzystwie wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, prowadząc statystykę drobiazgową, stwierdza, że znacznego procentu żądań pracodawców biuro nie może uwzględnić właśnie wskutek wymagania od pracowników znajomości języków obcych. Gdy tak poważna instytucja, jak Towarzystwo wzajemnej pomocy, liczące przeszło 2,600 członków, nie może dać pożądanego kandydatów, niepodobna ich — naturalnie—znaleźć w kantorach prywatnych. Wnosić więc można, iż pracodawcy, o ile nie spuszcza z wygórowanych żądań swych, do korespondencji w językach obcych biorą—cudzoziemców... Czyż można jednak dziwić się, że większość handlowców nie zna gruntownie języków obcych? Większość ta pochodzi ze sfer niezamożnych, kilka klas gimnazjalnych, kurs szkoły handlowej—to ich wykształcenie; podczas nauki szkolnej niepodobna nauczyć się gruntownie jednego języka obcego, cóż dopiero dwu?... Następuje ciężka praktyka, potem zajęcie—stałe w charakterze subiekta, pomocnika korespondenta lub buchaltera... Na nieliczne chwile czasu wolnego przypadają: i rozrywki konieczne, i czytanie pism i książek—treści ogólnokształcącej i nauka języka obcego... kiedyż się tego ostatniego nauczyć?..

Po wielu latach chyba. A nasi pracodawcy, za parusetrublową nadwyżkę pensji rocznie, wymagają, żeby kandydat mówił po francusku, jak paryżanin urodzony, władał korespondencją niemiecką—jak nauczyciel tego języka...

Jakimż dobrodziejstwem dla tych setek pracowników uczciwych, wykwalifikowanych skądinąd, będzie wprowadzenie do handlu języka „Esperanto”, który winien zastąpić i zastąpić bezwarunkowo, w tej właśnie dziedzinie wszystkie języki obce!.. Wtedy ani jedna posada

wakująca nie pozostanie nie obsadzoną wskutek nieznajomości języka międzynarodowego.

Esperanta nauczy się każdy, najwyżej w ciągu dwu miesięcy, młody czy stary, zdolny lingwista czy władający jedynie językiem ojczystym.

Zobaczmy jednak, czy Esperanto nadaje się do stosunków handlowych?

Na to niech odpowie — zagranica i historia języka międzynarodowego. Wystarczy mi przypomnieć raz jeszcze w stosunku do sprawy poruszonej, to, co w ogólnych artykułach o „Esperanto”, pomieszczonych w „Naokoło Świata”, mogło ująć uwagi—handlowców.

Otóż już we wstępnym swym artykule (№ 45 z r. z.) p. A. B. Brzostowski zaznacza: „Esperanto nadaje się znakomicie tak do rozpraw filozoficznych, jak i do korespondencji handlowej lub reklam”. A dalej: „do Towarzystw i klubów esperantycznych na obu półkulach świata należy olbrzymia liczba, najwybitniejszych częstokroć, kupców, przemysłowców”. Gdyby więc komuś twierdzenie pierwsze wydało się teorią zapalonego esperantysty, nakręconą *ad libitum*; to samo życie—olbrzymi udział najwybitniejszych kupców i przemysłowców—zwalcza dobitnie twierdzenie oponenta.

Za granicą czasopisma specjalnie handlowe, przemysłowe zamieszczają mnóstwo artykułów o języku „Esperanto”, bo, trzymając dłoń na pulsie życia, otwierają swe łamy temu, co niesie fala życia.

Prof. dr. L. Couturat w pracy swej, o „powszechnym języku międzynarodowym” wzywa wszystkie francuskie Towarzystwa przemysłowe i handlowe do przystąpienia czynnie do wprowadzenia w życie języka międzynarodowego.

We Francji odezwały się na to wszystkie niemal Towarzystwa...

U nas — czy też się odezwą, a jeżeli wydadzą głos, to czy nie będzie on tylko sykiem i urąganiem?..

Tenże autor w punkcie 3 im broszury stwierdza, iż język międzynarodowy ma służyć *przemysłowcom i kupcom*. Język ten wystarczy i na potrzeby nauki, i przemysłowi z handlem.

„Czyż narzędzia fizyczne lub przetwory chemiczne miałyby nosić inne nazwy w świecie uczonym, a inne w handlu lub przemyśle? Gdy przyłączymy do języka naukowego wszystkie wyrazy techniczne, *stanie się* on tym samym *mową handlową, kupiecką*, a stąd i językiem *potocznym*”.

Mówiąc o początkowym powodzeniu niefortunnego języka „Volapük”, prof. Couturat stwierdza, iż powodzenie to zawdzięczał — „*istotnej, przez*

wszystkiej odczutej (czy my ją jednak odczuwamy?) *potrzebie, szczególnie w świecie handlowym.*”

Jeden z pierwszych zarliwych protektorów języka „Esperanto” w kraju naszym, Leo Belmont, zaznacza: „Setki towarzystw uczonych, *handlowych*, sportowych oświadcza się za językiem „Esperanto”—za granicą”.

Nieco dalej tenże pisarz stwierdza, że nawet ci, którzy przeczą możliwości używania języka „Esperanto” dla celów artystycznych (w poezji, powieści), godzą się na używanie go *w korespondencji handlowej*.

Przytoczeń powyższych wystarczy, aby sprawę wprowadzenia języka „Esperanto” w handel naszym, poruszoną bodaj czy nie po raz 1-szy w pismach warszawskich, postawić na porządku dziennym debatów poważnych:

1) *w Delegacji pracowników handlowych i w Sekcji handlowej* (w pierwszej autor tych słów zabierze głos w tej sprawie po ferjach);

2) *w Towarzystwie pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy*;

3) *w zgromadzeniu kupców m. Warszawy*;

4) *w sekcjach handlowych oddziałów popierania przem. i handlu innych miast Królestwa Polskiego.*

Bezpośrednim postulatem tych obrad byłoby: 1) uznanie języka *Esperanto* za międzynarodowy, *jedynie* obowiązujący kupców polskich w stosunkach z zagranicą; 2) utworzenie kursów nauki języka „Esperanto” pod opieką Towarzystw wzajemnej pomocy pracowników handlowych.

W łonie członków Towarzystwa pracowników handlowych m. Warszawy od szeregu lat ścierają się z sobą dwie partje: 1-sza tych, którzy działalność T-wa ograniczają do najszczuplejszego zakresu: udzielania wsparć w niedostatku, pomocy lekarskiej w chorobie, zapomóg wdowom i sierotom; 2 ga tych, co wskazują najszersze horyzonty — szerzenia kultury, uspołeczniania, wzajemnej pomocy, nietylko materialnej, lecz i duchowej, pielęgnowania spólnych ideałów ludzkości. Tę drugą partję interesują wszystkie objawy życia, wszystkie dążenia w kierunku postępu ludzkości „ad astra”; musieli się więc oni zainteresować językiem „Esperanto”.

Na jednej z pogadank koleżeńskich rzuceno myśl wprowadzenia nauki „Esperanto”. Rzecz okazała się niejasną dla wielu.

Protektorów „Esperanta” zdetonowały na razie: powierzchowne zapatrywania tych, którzy w języku międzynarodowym widzą wroga mowy ojczystej (nie rozprawiam się z niemi, gdy prof. Dybowski uczynił to już dawno na tych samych łamach); i głos pewnego oponenta z zasady, który twierdził, iż język „Esperanto” będzie się

urabiał w każdym kraju odrębnie, wchłaniając mnóstwo wyrazów miejscowych, a w ten sposób nauka „Esperanta“ stanie się trudniejszą, niż kilku języków obcych.

Ten pan musiał czytać artykuły w „Naokoło Świata“, tylko czytał je nieuważnie.

Wbił mu się więc w pamięć okres następujący:

„Zadanie esperantystów każdej narodowości polega na oświeceniu sztucznego języka z punktu widzenia swej mowy rodzinnej, celem dania temu językowi wszystkiego, co jest najlogiczniejsze i najcelowsze w języku ojczystym, a przeszkodzeniu wprowadzenia do niego zwrotów zbyt specyficznych z języków obcych, np. giermanizmów, niezrozumiałych dla Polaka. *Więc każdy naród stwarza tu potok własny, który wlewa we wspólne źródło.*“

Zwłaszcza ostatnie zdanie mogło — w istocie — zaniepokoić „oponenta z zasady“: *każdy naród stwarza potok własny* — czyli: własne, odrębne „Esperanto“ — pomyślał sobie i, wystraszony, nie doczytał do końca, w którymby znalazł ukojenie:

„Porozumienie się zachodzi w głównym organie wszystkich esperantystów — „*Lingvo internacia*“.

Więc żaden naród nie tworzy neologizmów samowolnie, lecz uprawnia je jeden organ, dla wszystkich narodów zarówno.

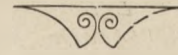
Miejmy nadzieję, że zarząd Tow. pracowników handlowych m. Warszawy, po ferjach, rozważy w pełnym swym składzie, z udziałem zwolenników *Esperanta*, sprawę tu poruszoną, *sine ira*..

Miejmy nadzieję, że partja „idealistów“ — tym razem osiągnie tryumf. Bo i wśród prozaicznych, na pozór, handlowców są idealisci, — a to w myśl podziału p. Leona Belmonta. — „Idealisci — powiada on — to ci, którzy wymyślają i propagują rzeczy praktyczne, bogacą i doskonają życie praktyczne...“ „Ludzie *praktyczni* nie są zdolni nic wymyślić, nie nowego popchnąć naprzód, drwią z idealistów i twardo trzymają się tylko już istniejących, a nie usuniętych jeszcze niedogodności“. „Pierwsi, zwani niepraktycznemi, bo widzą nie swój własny zysk, lecz zysk powszechny, nie pożytek chwili, ale pożytek przyszłości, *rozkazują*“. „Drudzy, zwani praktycznemi, bo nie widzą dalej swego nosa, bo nie potrafią samodzielnie zrozumieć własnego pożytku, bo nie umieją oderwać myśli od chwili, muszą *stuchać* i z czasem okazują się zawsze posłuszni“...

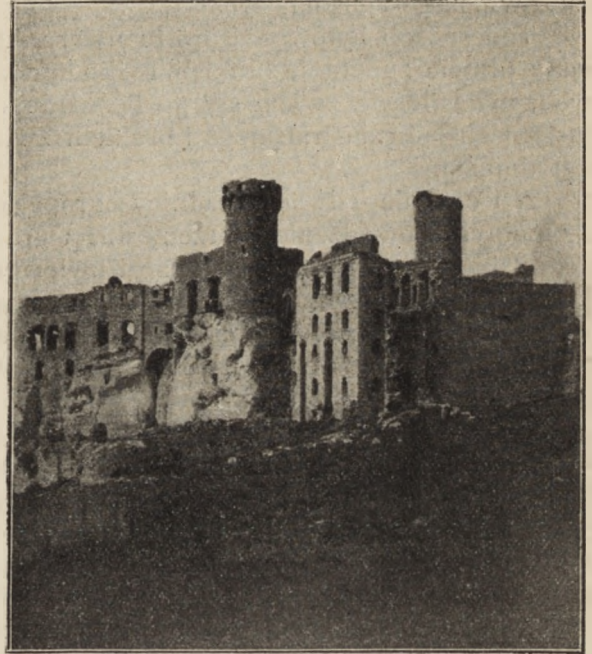
Charakterystyka śmiała; trafna — ani słowa — z drobnym jednak wyjątkiem: życie zdobywa się

często na taką ironję, że „praktyczni“ rozkazują, a „idealisci“ muszą ich słuchać... do czasu naturalnie.

Karol Hoffman.



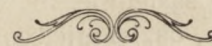
Konkurs fotograficzny tygodnika „Naokoło Świata“
Zdjęcia p. Witolda Kasprowicza.



Ruiny zamku w Ogrodzieńcu.



Ruiny zamku w Siewierzu.



Narody stepów i pustyni.

(według Alfreda Kirchhofa.)

(Ciąg dalszy)

W Australji tameczne plemię czarne dotychczas jeszcze trzyma się mocno swego starego, koczowniczego sposobu życia.

Ten sposób bytowania jest tu uwarunkowany prawie zupełnym brakiem roślin uprawnych, małą ilością zwierzyny na bezwodnych pustyniach lądu australskiego i brakiem zwierząt dojnych.

A i obecnie, gdy już osadnicy europejscy z zupełnym powodzeniem przenieśli na grunt australski nasze rośliny uprawne i zwierzęta domowe, australezyk zostaje wiernym dawnej wolności, jakkolwiek jest ona połączona ze zmuśnionym zbieraniem czczych okrucichów z niewykwinonego stołu pustyni.

Mężczyźni codziennie rozchodzą się w różne strony na wielkie odległości, aby złapać kangura lub zabić bumerangiem ptaka. Kobiety robią poszukiwania bliżej i, objuczone sprzętami domowymi i małymi dziećmi, zbierają miód dziki, smołę drzewną, robaki jadalne i t. d., aby oszukać dręczący je głód, zanim nie przyjdą do niezupełnie jeszcze wyschłej kałuży, nad którą rozpalają ogień przy pomocy polan, ciągnionych z sobą i wysuszonych palącymi promieniami słońca; gdyż w przeciwnym razie srogi mąż będzie się gniewał, jeśli trzeba będzie zbyt długo trzeć kawałki drzewa jeden o drugi dla rozpalenia ognia i może jeszcze „puścić na spacer po głowie małżonki” swój długi kij.

W bogatszej pod względem zwierzyny Afryce buszmen nie ogranicza się do zbierania wszystkiego, co jest jadalne, — zajmuje się on nadto polowaniem i celnie a zręcznie strzela z łuku.

Żaden kraj jednak na świecie nie jest takim eldorado dla myśliwego, aby mógł on utrzymywać się z polowania bez przechodzenia z miejsca na miejsce.

Tak samo koczować musi pastuch w stepach z niewielką ilością wody, a co zatym idzie ze złym pokarmem dla stada lub w krajach górskich, gdzie gruba warstwa śniegu pokrywa pastwiska i zmusza do przepędzania bydła w doliny sąsiednie.

Przeciwnie, oazy i miejscowości pustynne, przez które przepływają rzeki, (że przypomniemy sobie tylko zraszający Egipt i Nubję, Nil, jedyną rzekę, przecinającą Saharę na całej jej

szerokości), zostają miejscowościami osiedlania się stałego.

W krajach takich obecność wody rzecznej i źródlanej i urządzenia irygacyjne pozwalają zajmować się ogrodnictwem i rolnictwem, nawet podczas suszy i w takich miejscowościach, gdzie nie pada deszcz nigdy.

Dlatego to nauka Zoroastra była prawdziwym dobrodziejstwem dla suchych miejscowości Iranu i Turanu, ponieważ ogłaszała i podawała jako święte, urządzenia irygacyjne, dzięki którym kraj, dotychczas bezpłodny, zaczął dawać tysiąckrotne urodzaje zbóż i owoców.

Stepy, w których deszcz pada dość często na to aby zajmować rolnictwem bez uciekania się do irygacji sztucznej, — stały się miejscami osiadłego życia ludzkiego, po części już w głębokiej starożytności a ostatecznie w nowszych czasach; zwykle plemiona rolnicze, przychodzące z innych krajów, zasiedlały te stepy już dlatego, że z charakteru swego przeznaczone im były; każda bowiem ziemia należy do tego, kto najlepiej umie wyzyskać jej rzeczywistą wartość i zdoła obronić ją mężnie.

Angielscy rolnicy i hodowcy owiec przenikają coraz głębiej wewnątrz Australji; boerowie wypierają hottentotów i kafrów; prerje, w których jeszcze tak niedawno czerwonoskórzy polowali na całe stada bawołów, zamieniły się, podobnie jak pampasy argentyńskie w kołyszające się na nieobjętej wzrokiem przestrzeni złote niwy zbóż; południowo-wschodnie stepy Europy, po których w starożytności koczowali ze swemi stadami scytowie i sarmaci, obecnie rozorywa pług rolnika. To samo dzieje się u podnóża gór Uralskich: baszkirzy niechętnie zrzekają się swej wolnej, koczowniczej swobody ruchów, ściśnięci górami Uralskimi na wschodzie, pustynnami stepami nadkaspjskimi na północy i ciągłym ruchem włościan rosyjskich z zachodu i północy, — widzą oni, że żyć z samych tylko pasących się w stepach stad dłużej niepodobna; dlatego to kawał po kawale wydzierżawiają swe ziemie włościanom rosyjskim, otrzymując od nich, jako opłatę, umówioną część zbiorów. Tym sposobem baszkirzy usiłują przedłużyć jeszcze dawne swe życie koczownicze. Los ich jednak już zdecydo-

wany: chcąc wyżyć z samej hodowli bydła na stepach baszkirskich, trzeba mieć koniecznie 120 morgów na osobę, gdy rolnikowi wystarczy 20—30.

A więc powierzchnia, dająca wystarczającą ilość mleka i mięsa zaledwie dla jednego baszkira, może wyżywić 4—6 włościan.

W każdym razie tam, gdzie utrzymało się koczownictwo, prawa i zwyczaje pozostają niezmiennie.

Dopiero niedawno przeprowadzenie tu i tam przez stepy i pustynie kolei żelaznych wywołało przewrót zupełny w sposobach komunikacji; i teraz jednak, jak dawniej przechodzi tam człowiek od jednego źródła wód do drugiego, jak to robi pastuch, kiedy na wiosnę ziemia pokrywa się zielonością, jak to robi dowódca karawany i skradający się łupieżca.

Pustynia wychowuje narody rozbójnicze. Bywa ona zawsze uboga w dary przyrody; za-

ledwie gdzie niedzie zawiera sól, lub—jak na Atakanice—saletę.

Często z obu stron pustyni ciągną się krainy bogate, naprz. afrykańskie wybrzeże Morza Śródziemnego i Sudan. Karawany, naładowane ich towarami, przeryniają pustynię i w tej długiej drodze podróżnika wabi oaza, zraszana deszczem, zasobna w cień i wodę, ze swemi gajami daktylowemi i polami zasianemi różnemi gatunkami zbóż. A dodać należy, że mieszkańcy stepów i pustyni bardzo potrzebują owoców i chleba, jako niezbędnej przyprawy do jednostajnego pokarmu mięsnego.

Nic więc dziwnego, że narody stepów i pustyni bardzo często zajmują się rozbojem, korzystając ze znakomitego obeznania się z terenem operacji rozbójniczych, ułatwiającego napad i odwrót. Dlatego wszelkie zabudowanie na oazach bywają obwarowane.

(C d. n.)



Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej.

Ze sprawozdania tej pożytecznej instytucji za r. z., 12-ty jej działalności, przytaczamy niektóre dane.

Jednym z głównych zadań Muzeum Rzemiosł jest kształcenie młodzieży rzemieślniczej w rysunku, oraz wyrabianie w niej poczucia piękna. Uwzględniając to, zajęcia w salach rysunkowych odbywano przeważnie w godzinach wieczornych, wolnych od pracy zawodowej.

Młodzież rzemieślnicza, wszelakich specjalności, uczęszczała do sal rysunkowych w dni powszednie, od godziny 7-ej do 9-ej wieczorem, i kształciła się pod kierunkiem panów: Ludomira Dymitrowicza, Leona Chrzanowskiego, Ignacego Łopieńskiego, Józefa Malanowicza, Feliksa Rolińskiego, Teodora Skoniecznego i Antoniego Turckiego, tudzież w niedziele i święta w godzinach rannych od 9 do 11, pod kierunkiem p. Turckiego.

Kobiety-rękodzielniczki uczęszczały na rysunki w niedziele i święta od godziny 1-ej do 3-iej po południu, pod kierunkiem p. L. Mierosławskiej, inne zaś—w dni powszednie, codziennie od godziny 4¹/₂ do 6¹/₂ wieczorem, pod kierunkiem p. M. Zaremba-Słupskiej; ich kierownikami w rysunku architektonicznym i technicznym byli Teofil Wiśniowski i Zdzisław Mąceński.

Malowanie na różnych materiałach odbywało się dla kobiet we wtorki, czwartki i soboty, od godziny 10-iej rano do 1-ej po południu, pod kierunkiem pani L. Mierosławskiej.

Nauka intarsji i mozaiki drzewnej odbywała się w poniedziałki i piątki, od godziny 10-iej do 12-iej w południe, pod kierunkiem pani K. Boguskiej. Ostatni ten dział wprowadzony był jesienią roku 1903, przy pomocy i ofiarności Witolda ks. Światopełk-Czetwertyńskiego, interesującego się tym działem zdobnictwa.

Modelowanie wreszcie uprawianem było przez mężczyzn i kobiety dwa razy tygodniowo, we wtorki i piątki—wieczorem od godziny 7-ej do 9-ej, pod kierunkiem pana T. Skoniecznego.

W roku minionym uczęszczało do sal rysunkowych:

mężczyzn	230
kobiet	105
razem	335 osób.

Oprócz tego uczęszczało:

uczniów cechu mularzy	44
„ „ cieśli	26
„ „ blacharzy	37
razem	107 osób.

W pierwszym półroczu roku ubiegłego sale rysunkowe, podobnie jak lat poprzednich, mieściły się przeważnie w gmachu Muzeum na Krakowskim Przedmieściu, oddział zaś równoległy, początkowych rysunków, w domu przy ul. Skłodowej. Od 1-go października r. z. nastąpiło prze-

niesienie większości sal do domu muzealnego przy ul. Składowej, z powodu przeznaczenia lokalu w gmachu na Krakowskim Przedmieściu, na organizowane zbiory Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Od tej daty pozostały w dawnym lokalu tylko rysunki dla kobiet, w godzinach popołudniowych, i rysunek głów i figur, z modeli gipsowych dla mężczyzn, w godzinach wieczornych.

Przeniesienie takie nie wpłynęło ujemnie na liczbę osób uczęszczających do sal rysunkowych.

O postępie osób, uczęszczających do sal rysunkowych najlepiej zaświadczyła otwarta, w ubiegłym tygodniu, wystawa ich prac i studjów ze wszystkich działów uprawianych w Muzeum Rzemiosł. Publiczność, z fachowymi znawcami na czele, nie skąpiła pochwał i uznania pracom wystawionym.

W ciągu 12 tu lat istnienia Muzeum z górą 4,500 osób skorzystało z jego usług na polu krzewienia znajomości rysunku i sztuki stosowanej. Dla wielu znajomość ta—to majątek. Muzeum zaskarbiło więc sobie wdzięczność pracowników.

K.



ROZMAITOŚCI.

Śpiewacy ludowi na Górnym Śląsku. W miasteczkach i osadach górnośląskich często spotkać można t. zw. śpiewaków ludowych. Pojawiają się oni zwykle w czasie tłumniejszych zebrań, a więc w porze jarmarku lub odpustu.

Przedstawienie swoje zaczynają od ustawienia obrazów, wyobrażających zazwyczaj jakiś sensacyjny wypadek z ostatnich czasów; tajemnicze morderstwo, jakąś tragedję rodzinną lub miłosną itp. Główny przedsiębiorca widowiska gra na katarynce, a gdy zwabiona publiczność licznie zgromadzi się dookoła i okaże zainteresowanie się wyobrażoną na malowidle sceną, towarzyszące przedsiębiorcy dziewczęta zaczynają wyśpiewywać piosenki, których tekst jest komentarzem do wypadku, przedstawionego na obrazie.

Oto kilka typowych przykładów:

1. Wdowa, mająca córkę dorosłą, zapragnęła poślubić zamożnego ogrodnika. Na przeszkodzie uprannionemu związkowi stoi córka. Okrutna matka zamknęła dziewczę w piwnicy i zamorzyła głodem.

2. Bogata dziewczyna kocha ubogiego wyrobniaka. Ojciec jej nie pozwala na małżeństwo ze względu na ubóstwo młodzieńca. Ten wyjeżdża do Ameryki, aby tam zdobyć odpowiednie mienie, a z nim i rękę ukochanej.

Upływa lat parę; przychodzi do Ameryki list dziewczyny, naglący do powrotu, gdyż okrutny ojciec zmusza ją do ślubu z innym zalotnikiem. Młodzieniec śpieszy do kraju, przybywa do wioski rodzinnej i dąży pod okienko ukochanej: chata pusta. Zaczyna szukać lubej po polach i lesie, wstępuje mimochodem na cmentarz i spostrzega mogiłę, na której napis oznajmia mu, że narzeczona nie żyje. Zmuszona do zamężcia z narzucenym zalotnikiem, otruła się na ucztę weselnej. Młodzieniec z żalu umiera.

Gdy dziewczęta ukończą piosenkę, grajek objaśnia jeszcze ciekawemu tłumowi, gdzie i kiedy zaszedł dany wypadek, tłumaczy obrazy i sprzedaje broszurki z jego opisem, tudzież z tekstem piosenki w polskim języku i niemieckim. Śpiewacy ludowi rekrutują się przeważnie z Górnej Bawarii lub Szwajcarii.

A. W.

Turoń. W Galicji, w okresie świąt Bożego Narodzenia, oprócz znanych powszechnie szopek, obchodzą jeszcze domy t. zw. turoń. Przyjmujący tę rolę człowiek okrywa się dużą płachtą, zgina się tak, że przybiera postać zwierzęcia, a w ręce osłonięonej trzyma kij, na którego końcu osadzona jest głowa zwierzęcia, z drzewa wyrobiona, opatrzona rogami; pysk okryty skórką jeża, u dolnej szczęki zwieszają się dzwonki, a z paszczy widnieje czerwony język i zęby. Turońowi zwykle towarzyszy żyd, a często i kilku poprzebieranych różnie chłopaków z muzyką i śpiewaniem kolend. Turoń wyprawia różne figle, straszy szczególnie dziewczęta, kłócąc je kołcami skórki jeżowej.

A. W.

Droga kultury. Profesor Rafael Pumpelly, znany archeolog ze Stanów Zjednoczonych, został wydelegowany przez „Carnegie Institution“ w Waszyngtonie do Turcji dla specjalnych studjów. Bezpośrednim celem wyprawy jest odnalezienie pierwszego osiedlenia ludzi w Azji Środkowej. Pumpelly przypuszcza, że w okręgu, w którym mają być rozpoczęte poszukiwania, leżało jedno z najstarszych miast. Mają również być zbadane ruiny starej Samarkandy i oaza Merw; poszukiwania „drogi kultury“ w dalszym ciągu skierują się ku morzu Kaspijskiemu.

W łódce przez ocean. Kapitan Ludwig Eisenbraun przepłynął ocean Atlantycki w łódce, mającej 6 metrów długości i 2 szerokości. Łódka była dwuzagłowa i mieściła w sobie 3/4 tonn ciężaru. Odważny żeglarz, przygotowawszy odpowiedni zapas prowiantów i wody słodkiej, wypłynął 11 sierpnia roku zeszłego z Bostonu, 24 tego miesiąca był w Halifaxie, 20 października przybył do Madery i 19 stycznia r. b. do Barcelony

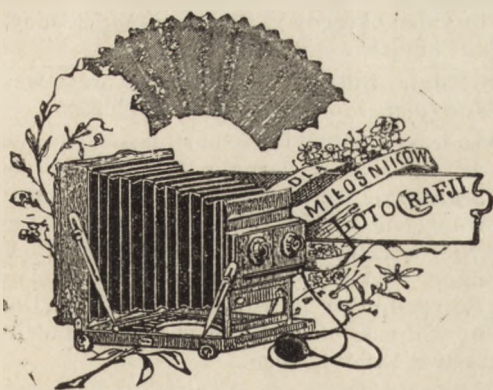
Naturalnie podróż 6-miesięczna, zwłaszcza w takich warunkach, nie mogła się obyć bez wypadków, ostatecznie jednak Eisenbraun szczęśliwie przybył do Europy.

Upijające się papugi. Na Cejlonie znajduje się gatunek papug „*Coryllis inclicus*”, który znalazł sposób upijania się sokiem roślinnym. Krajowcy Cejlońscy hodują pewne palmy, z których soku wyrabiają wino palmowe „Toddy”. Palmę zazwyczaj nacinają i spływający sok zbierają do przywiązanej poniżej naczynia. Otóż papugi, korzystając z nieobecności ludzi, wypijają tyle tego soku, że wpadają w stan nieprzytomności, i ludzie znajdują je leżące na ziemi.

Dom cały w muszlach. Dom, całkowicie z zewnątrz i z wewnątrz ozdobiony muszlami, to chyba niezwykła rzadkość.

Dom taki w samej rzeczy istnieje w Ballarat w Australji. Jest on własnością pewnego fabrykanta, który nie tylko mury zewnętrzne, ale nawet wszystkie urządzenia wewnętrzne: statuy, wazy, baseny, lampy i t. d. ozdobił muszlami najrozmaitszych kolorów, kształtów i rozmiarów.

Dom ten odwiedza rok rocznie tysiące ciekawych; stanowi on jedną z największych przynęt miejscowości, w której się znajduje



Jak zostać fotografem?

V.

Jeżeli postawimy aparat fotograficzny, zaopatrzonej obiektywem, i rozsuniemy miech w ten sposób, że na matówce aparatu otrzymamy wyraźny, ostry obraz przedmiotu, znajdującego się przed aparatem, to matówka, na której ten obraz otrzymamy, będzie się znajdować w t. z. ognisku obiektywu. Wówczas to odległością ogniskową danego obiektywu nazywać się będzie odległość (obliczona w milimetrach lub centymetrach) od środka obiektywu do matówki z ostrym obrazem. Im mniejsza jest odległość przedmiotu, zdejmowanego przed aparatem, tym większy dostajemy obraz i tym więcej trzeba rozsunać miech aparatu, aby obraz otrzymać wyraźny. Przy oddaleniu się od zdejmowanego przedmiotu z aparatem dostajemy obraz mniejszy, a przy zbliżeniu większy. Z dwóch różnych obiektywów ten przy jednakowej odległości od przedmiotu,

daje obraz większych wymiarów, którego odległości ogniskowa jest większa i naodwrot. Obiektyw np. o mniejszej odległości ogniskowej obejmie większą część zdejmowanego obrazu, lecz części składowe obrazu będą zmniejszone a obiektyw o większej odległości ogniskowej da obraz w mniejszych granicach, lub jego części tylko, lecz części składowe obrazu będą powiększone, jeżeli oba obiektywy będą ustawione na jednakowej odległości. Zauważać należy, że pośród obiektywów portretowych i grupowych spotykamy przeważnie obiektywy o dużej odległości ogniskowej, a pośród widokowych, do wnętrza, i pośród większej ilości t. z. uniwersalnych — obiektywy o stosunkowo niewielkiej odległości ogniskowej.

Stosunek zachodzący pomiędzy wielkością przedmiotu, a wielkością obrazu i stosunek pomiędzy odległością przedmiotu od obiektywu, a wielkością obrazu, obliczonym został w t. zw. tablicy Secretana, do której odsyłamy.

Liczba, oznaczająca stosunek otworu (soczewki) obiektywu do odległości ogniskowej tegoż obiektywu, nazywa się otworem względnym obiektywu. Im liczba wyrażająca otwór względny jest mniejsza, tym obiektyw jest więcej światłosilny, i naodwrot, czyli otwór względny określa siłę świetlną obiektywu. Obiektyw każdy posiada tak zwany kapsel czyli przykrywkę, którym się zamyka obiektyw, jeżeli aparat nie działa.

W razie jeżeli zdjęcia wykonywamy przeważnie momentalne, to na obiektyw lub pod obiektyw zakłada się migawka. Migawki są rozmaitych systemów. Zadanie migawki polega na tym, ażeby szczelnie zasłaniać obiektyw a w razie potrzeby odsłaniać go na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu za pociśnięciem.

Migawka posiada zwykle takie urządzenie, które pozwala za pomocą odpowiedniego nastawienia na wskazane liczby lub litery czas otwierania dowolnie regulować. Możemy regulować więc migawkę tak, ażeby za przyciśnięciem odkryła obiektyw na przeciąg czasu dłuższy, potrzebny do nastawienia aparatu lub dłuższej ekspozycji; możemy regulować tak, ażeby otworzyła się momentalnie i zamknęła szybko w przeciągu $\frac{1}{2}$, $\frac{1}{25}$, $\frac{1}{50}$, $\frac{1}{100}$ a nawet $\frac{1}{1000}$ sekundy, jeżeli działanie światła przez tak krótki czas jest dostateczne do wykonania zdjęcia.

Dzięki migawkom, zwłaszcza roletowym, można, zdejmować przedmioty, będące w bardzo szybkim ruchu, których obrazy bardzo szybko chwytają potrzeba.

Statyw czyli trójnóg jest częścią aparatu składanego, na którym opiera się on podczas zdjęcia. Statyw musi być odpowiedniej mocy, ażeby aparat danej wielkości utrzymał i zabezpieczył od możliwego poruszenia w czasie zdjęcia. Statywy bywają rozmaitych systemów, każda z nóg statywu jest rozsuwana, wskutek czego aparat możemy przez to rozsunięcie podnieść wyżej lub opuścić niżej. Statyw w górnej części posiada śrubę, na której się aparat przymocowywa.

Ażeby zrobić zdjęcie aparatem składanym potrzeba:

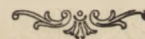
Wybrać najodpowiedniejszy aparat, dopasować najodpowiedniejsze: obiektyw, migawkę i statyw.

Założyć kliszę do kasety aparatu.

Ustawić aparat tak, aby zdejmowany obraz rysował się wyraźnie i jasno na matówce aparatu, t. j. innemi słowy nastawić aparat.

Wyeksponować kliszę w aparacie.

Władysław Karoli.



Głosy czytelników.

Co zabierać z sobą na wycieczki piesze.

Świeżo wyszła z pod prasy, bardzo dobra broszurka p. A. Janowskiego, p. n. „X ciekawszych wycieczek po kraju“, ma, zdaniem moim, jeden zasadniczy brak, który, dla dobra idei zwiedzania i poznawania kraju ojczystego i wobec odpowiedniej, wakacyjnej pory roku, należałoby co rychlej uzupełnić. Otóż broszurka taka winna dokładnie informować, jak należy ubrać się na taką wycieczkę, jakiego rodzaju torbę wziąć z sobą, co ona powinna zawierać; słowem, cały szereg pożytecznych wskazówek, których p. Janowski, jako doświadczony w tym kierunku, niewątpliwie nie po- skąpi.

Za granicą, gdzie sport turystyczny, bezwątpienia najzdrowszy ze sportów, jakie istnieją, jest bardzo rozpowszechniony, rozwinął się odpowiednio i przemysł w tym kierunku. Sprzedają tam mnóstwo rozmaitych drobiazgów, które podczas wycieczek pieszych oddają nieocenione usługi. Warto by i u nas zapoczątkować ten przemysł. Niewątpliwie, podniesie to na razie koszt wycieczki, ale pamiętać należy, iż wydatek taki będzie jednorazowy i rzeczy dziś kupione przydadzą się na następne wycieczki. P. Janowski zwraca się głównie do młodzieży, która łatwiej znosi niewygodę podróży, ale, moim zdaniem, wycieczki takie są niesłychanie doniosłe i dla zdrowia osób starszych; zwłaszcza, jeżeli odpowiednio zaopatrzone do podróży, pozbędą się bodaj części niewygód, nieodłącznych zresztą od każdej podróży.

Edmund Kurella.

Podając głos powyższy, z którym solidaryzujemy się zupełnie, oczekujemy od szanownego autora „Wycieczek po kraju“, p. A. Janowskiego, pożądanego wskazówek: *co zabierać z sobą na wycieczki piesze.*

Red.

O lampę spirytusową.

P. Z. Rychter (Niemce przez Granicę) zapytuje nas o miejsce nabycia i cenę lampki spirytusowej, opisanej w nrze 11-tym „Naokoło świata“ z r. b. według wzoru rysunku 5-go.

Upraszamy firmę warszawską, sprzedającą wyroby podobne, o udzielenie odpowiedniej informacji w tej mierze.



Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo.“



„Restado estas morto.“

„Grupy“, „Kluby“, „Towarzystwa“ Esperantyczne.

(Ciąg dalszy.)

Samoëns (Haute-Savoie, Francja). „Société Espérantiŝte de la Vallée du Giffre“. *Prezes*: Dr. Boyadjian *Wice-prezes*: J. Charvin, sędzia pokoju w Taninges. *Sekretarz*: Louis Burdin, poborca podatkowy.

Santander (Hiszpanja) — *Sekretarz* Towarzystwa: Leon Tourville („Liceo de Bravo“).

Santjago (Chili, w Ameryce południowej) — *Prezes* Towarzystwa: prof. Luis E. Sepúlveda Cuadra. *Sekretarz*: E. Bonnefoy.

Sanuki (Japonja) — *Sekretarz* Towarzystwa: Ninouriwa, licencjat nauk prawnych (Adanomura Ragawajori).

Sceaux (Francja) — Towarzystwo Esperantyczne, założone pod egidą „Société d’Instruction et d’Education Populaire“. *Prezes*: Dr. Buisson, *Sekretarz*: Gaston Maillard, Rue de Four, 2.

Schalke (Westfalja). Był tu niegdyś (w roku 1890 i następ.) jeden z pierwszych klubów esperantycznych który, wskutek zgonu jednego ze swych założycieli, a wyjazdu innych — rozwiązał się z czasem.

Schwincfurt (Bawaria) — Klub Esperantyczny, założony w r. 1892 przez Karola Branda, nauczyciela, K. Kirchnera, urzędnika i S. Kramera, kupca.

Senur (Francja) — *Prezes* Towarzystwa: Alfons Teŝtard, inżynier okręgowy. *Sekretarz*: M. Vienney, prof. Kolegium miejscowego.

Sylistrja (Bułgaria) — *Prezes* Towarzystwa: I. Raczew. *Sekretarz*: Jonko Dawidow, kupiec.

Smoleńsk. Filja Petersburskiego Towarzystwa: „Espero“, założona w sierpniu 1898 r. *Prezes*: Mikołaj Lesli. *Sekretarze*: Wilhelm Pilecki i Aleksander Teterew. *Członkowie Komitetu*: Wasilij Cwietkow, Lew Czerewin, Nilo Engelhardt, Leon Meder, Georgio Vannali i Aleksander Zakrzewski, główny inicjator Towarzystwa. Cotygodniowe posiedzenia członków Komitetu Filji odbywały się początkowo w lokalu Smoleńskiego Towarzystwa Kredytowego.

Södertelge (Szwecja) — „Societo Esperantista“. *Sekretarz* Towarzystwa: J. Roseen, współredaktor dziennika: „Södertelge Tidning“

Sofja (Bułgaria) — Było tu niegdyś (w roku 1889 i następ.) jedno z najpierwszych Towarzystw Esperantycznych, pod nazwą: „Espero“, założone przez p. M. S. Bohdanowa (d-ra Diodono), do którego między innymi przystąpili byli wówczas w charakterze członków-propagatorów: „Gradsko-Obstinsko Uprawlenie“ w Sylistrji; S. K Sałgandzijew „okolny naczelnik“, w Płowdiwie; Stefan Kamburow, „sudielny przystaw“ w Swisztowie; Nikoła Paruszew, „sudielny przystaw“ w Nikopolu; Atanas Weter, „mirowy sudja“ w Swisztowie; G. A. Petrow, „mirowy sudja“ w Wiednie itd. itd.

Dziś znajduje się w Sofji świetnie rozwijający się Klub Esperantyczny: „Auroro“ („Zorza“). *Prezydent honorowy* Klubu: T. Pejew. *Prezes urzędujący*: N. D. Kowaczew, redaktor sofjskiego „Świeta“ i najznakom-

mitszy z dziennikarzy bułgarskich. *Sekretarze*: M. Desimirov i G. P. Zografskij, Bulwar Ferdynanda I, 231.

Stara Zagora (Bułgarja)—Jest tu tak zwana: „Drużyna Esperantyczna“. Bliższych o niej szczegółów nie posiadamy.

Steneby (Dalsland, Szwecja)—Klub Esperantyczny, założony jeszcze w r. 1894 przez obywatela tamtejszego p. Carla A. Lindgren'a. O dzisiejszym jego stanie nie posiadamy bliższych szczegółów.

Stockholm. Klub Esperantyczny Miejski. *Prezes*: C. E. Carlsson. *Sekretarz*: P. Ahlberg, Döbelnsgatan, 50.

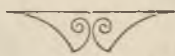
Oprócz powyższego Klubu, jest jeszcze w Stockholmie: „Esperanta Klubo de Laboristoj“ przy tamecznym „Domu Ludowym“ (Nazwisk członków Zarządu nie ogłoszono jeszcze).

Surbiton (Anglja)—*Sekretarz* Towarzystwa: P. Howerd, The Bungalow, Crane's Park.

Suresnes (pod Paryżem)—*Prezes* Towarzystwa: Dr. Boisson. *Wice-prezes*: pani E. Belhomme. *Sekretarz*: P. Lecuyer.

(C. d. n)

abb.



Odpowiedzi Redakcji.

W-ny S. Z. D. w P. Odpowiemy naszym starym przysłowiem: „Tak krawiec kraje, jak mu materiał staje“. Gdyby każdy z prenumeratorów naszego pisma postarał się o pozyskanie *jednego* nowego stałego odbiorcy, dalibyśmy i lepszy papier, i lepiej wykonane rysunki. Wiele specjalnych pism zagranicznych, liczących prenumeratorów na dziesiątki tysięcy, wychodzi na gorszym papierze, mniej dając i lichszych rysunków. Tytuł „Biblijoteki—ilustrowanej“ nie stanowi o tem, aby

koniecznie każdy arkusik musiał mieć ilustrację. Na wydawanie dodatków miesięcznie nie zgodziłaby się większość prenumeratorów, którzy żądają cotygodniowej lektury. W każdym razie, życzliwe uwagi szan. pana będziemy mieli na pamięci.

„*Szóstak*“ w miejscu. 1) Mapy gubernji i powiatów może szan. pan nabyć w drukarni sztabu wojennego. Atlas Królestwa Polskiego, z mapami poszczególnych powiatów, wydaje J. M. Bazewicz (Nowy Świat Nr. 36).—2) Załatwi każda księgarnia większa.—3) Najlepiej zwrócić się do zarządu Uniwersytetu Jagiellońskiego, który odpowie szczegółowo.

W-ny Cezary Popławski w Kijowie. Związku turystów w Warszawie dotychczas nie posiadamy, rozpoczęto jednak już odpowiednie starania, celem zatwierdzenia statutu Towarzystwa podróżników. Może szan. pan porozumie się, w sprawie zamierzonej wycieczki, z panem Aleksandrem Janowskim (Sosnowa Nr. 1), organizatorem pieszych wycieczek młodzieży po kraju.

W-ny Roman Kamiński w Kołomyżach. Numer okazyjowy wysyłamy. Dział filatelistyczny uwzględniamy stale, aczkolwiek nie w każdym numerze.—Warunki prenumery dajemy w każdym numerze.

W-ny W. S. W. Wrażenia z podróży pieszej do Indji byłyby ciekawe, o ileby napisano je po literacku. Niestety, z listu wnosimy, że nie mielibyśmy z tego pościechu.

„*Stały prenumerator*“ w Warszawie. Rozstrzyga—opracowanie tematu, z góry nie przesądzać nie podobna. Dobra, źródłowa monografia danego miasta gubernialnego byłaby bardzo pożądaną; skrótu ze „Słownika geograficznego“ lub „Starożytnej Polski“ sami możemy dokonać w potrzebie.

W-ny St. St. w Łodzi. Jakże możemy wysłać początki powieści z „Biblijoteki“, gdy szan. pan ukrywa swe nazwisko pod kryptonimem? Warunki prenumery znajdują się w każdym numerze pisma.

Dalszy ciąg Odpowiedzi Redakcji na okładce, pomiędzy ogłoszeniami.

Od Administracji.

Przypominamy Sz. prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na II półrocze.





SKŁAD ARTYKUŁÓW FOTOGRAFICZNYCH

J. i W. KASPRZYCKIEGO

w Warszawie, Nowy-Świat № 45.

Poleca: najnowszych systemów aparaty, klisze i wszelkie materiały, w zakres fotografii wchodzące. Posiada własne laboratorium oraz alfanę. Wykonywa: zdjęcia, wywoływanie klisz, kopjowanie, retuszowanie, powiększanie etc. etc. Wyrabia: wywoływacze, utrwalacze, wiraże—fiksaże, pocztówki

144

i t. p. Najtańsze źródło.

26—22

HERMAN i GROSSMAN

Warszawa, MAZOWIECKA 16.

S T. P E T E R S B U R G — M O S K W A.

Fortepiany i Pianina

słynnych fabryk

C. Bechstein, Steinway & Sons, Rönisch. Tresselt.

ANGELUS ORGREGSTRAL

pneumatycznie samogrający instrument, zastosowany do fortepianu lub bez takowego, daje następujące kombinacje:

1) solo fortepian, 2) solo organki, 3) Powyższe instrumenty razem.

Cenniki bezpłatnie. Sprzedaż na rozpłaty miesięczne.

Wynajem wyborowych instrumentów. Telef. 555.



65—18

RESTAURANT w GRAND HOTELE BARNI ul. Chmielna Nr. 5.

Wydaje codziennie świeże i zdrowe **Obiady** z 5 dań po 50 kop., **Kolacje** z 2 dań i deseru po 50 kop., oraz najświeższe nowalje i dania à la carte. **Piwnica** zaopatrzona w wyborowe Wina zagr. i krajowe podług oddzielnych cenników. **Piwo Stryckie** z beczki. Nadmieniam, że kuchnia moja **nagrodzona na Wystawie Kucharskiej w Warszawie Medalem Srebrnym**, prowadzona jest obecnie pod moim osobistym kierunkiem, z czem polecając się W.W. P.P. pozostaje do usług

Z Szacunkiem **STANISŁAW MROK.**

Caras letni.—Otwarta do god. 3-ej w nocy.

10—8

Treść № 27. Konkurs fotograficzny tygodnika „Naokoło Świata“. Zdjęcie p. Emila Karola Bohma (rysunki).—Indje, przez *Piotra Loli'ego*, tłumaczył *Józef Jankowski*.—Z podróży do Afryki. przez *Leopolda Janikowskiego* (z rysunkami).—Esperanto w handlu, przez *Karola Hoffmana*. Konkurs fotograficzny tygodnika „Naokoło Świata“. Zdjęcia p. Witolda Kasprowieza (rysunki)—Narody stepów i pustyń, według *Alfreda Kirchhofa*.—Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej, przez *K*—Rozmaitości—Dla miłośników fotografii.—Kronika esperantyczna (ciąg dalszy) przez *abb.*—Odpowiedzi Redakcji—Ogłoszenia.

Treść „Biblijoteki ilustrowanej podróży i powieści.“ Rozbójnik Marko. przez *L. Boussonarda*, tłumaczyła *M. Naimska* (str. 61—68).—Tajemnica burzy morskiej, przez *Sylwana Cobba* (str. 1—8).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata“: w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Za granicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblijoteką ilustrowaną podróży i powieści“: w Warszawie rocznie r. 6, półrocznie rb 3, kwartalnie rb 1 kop. 50.—Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9.—Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop 20—Cena numeru kop. 10.

Agientura w Łodzi:
Księgarnia L. Fiszera,
Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4.

Agientura w Częstochowie:
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki,
Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.**

Za redaktora: **Antoni Orłowski.**